



Klasyka literatury

STEFAN GRABIŃSKI

# DEMON RUCHU

NOWELE



Stefan Grabiński

## Demon ruchu

Wersja demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2017

Stefan Grabiński  
„Demon ruchu”

Copyright © by Stefan Grabiński, 1919  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2017

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania  
lub edytowania tego dokumentu, pliku  
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)  
Tekst oryginalny tłumaczenia: anonimowy.

ZACHOWANO PISOWNIĘ  
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Łukasz Chmielewski  
Projekt okładki: Kamil Skitek  
Druk: Drukarnia J. Czerneckiego  
Wydawnictwo: Księgarnia J. Czerneckiego  
Warszawa 1919

ISBN: 978-83-8119-009-1

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin  
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706  
<http://www.psychoskok.pl/>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

# MASZYNISTA GROT.

Z urzędu ruchu stacyi Brzana nadeszła do naczelnika Podwyża depesza następującej treści:

— Baczość na pospieszny Nr. 10! Maszynista pijany lub niepoczytalny.

Urzędnik, wysoki, kościsty blondyn z rudawymi baczkami odczytał rulon raz i drugi, odciął wąską, białą taśmę, wysnutą z bloku i zwinąwszy w pierścień dookoła palca, wsunął do kieszeni. Krótkie spojrzenie, rzucone na zegar stacyjny, pouczyło, że na sygnalizowany pociąg jeszcze dość czasu. Więc ziewnął znudzony, zapalił niedbałym ruchem papierosa i przeszedł do sąsiedniego pokoju kasyerki, jasnowłosej, posadzistej panny Feli, przygodnego ideału w chwilach nudy i oczekiwań na lepszy kąsek.

Podczas gdy pan naczelnik tak godnie przygotowywał się na przyjęcie zapowiedzianego parowozu, ujechał podejrzany pociąg już spory kawał drogi poza stację Brzana.

Pora była przecudna. Gorące, czerwcowe słońce przeszło już zenit i rozlewało po świecie złotą siejbę promieni. Migwały w przelocie ukwiecone jabłonią i czereśnią wsie i przysiołki, rzucały się w stecz zielonemi płachtami łąki i sianożęcia. Pociąg pędził całą siłą pary: tu go chwytał w szumiące chwiejną sosen i świerków ramiona las, tam wynurzone z objęć drzew witały przetowłosym pokłonem zbożne pola. Daleko na horyzoncie siniała mglistą wstęgą linia gór...

Grot, oparty o skrzydło maszyny, wbił poprzez owalne okienko nieruchome spojrzenie w przestrzeń, która snuła się długim, szarym traktem, ujętym w czarne pasy szyn. Pociąg wślizgnął się na nie lekko, drapieźnie, okraczał żelaznym układem kół i zgarniał skwapliwie pod siebie.

Maszynista czuł niemal fizycznie rozkosz tego ciągłego zdobywania, co, nigdy nie syte wypuszcza lekceważąco dopadnięty już łup i mknie dalej na nowe podboje. Grot lubiał pokonywać przestrzeń!..

Bywało, zapatrzy się we wstęgę toru, zaduma, zamyśli, o świecie bożym zapomni, aż go palacz za ramię szarpnąć musi i ostrzedz, że ciśnienie za wielkie lub stacja już blisko. Zapamiętałcem bo był maszynista Grot nielada!

Zawód swój kochał ponad wszystko i nie zmieniłby go za nic w świecie. Wstąpił do służby stosunkowo dość późno, bo dopiero w trzydziestym roku życia, lecz

mimo to odrazu okazał tak pewną rękę w prowadzeniu parowozów, że prześcignął wkrótce starszych kolegów.

Czem był przedtem, nie wiedziano. Wypytywany, odpowiadał niechętnie ni to, ni owo lub milczał uporczywie.

Towarzysze i władze otaczały go widocznym szacunkiem, wyróżniając wśród innych. W słowach jego krótkich, skąpo rozdzielanych między ludzi, przebijała inteligencja niepowszednia, cześć nakazująca.

Chodziły o nim i jego przeszłości pogłoski przeróżne, często wzajem sprzeczne; lecz na dnie wszystkich spoczywało zgodne przekonanie, że Krzysztof Grot był jednostką t. zw. zwichniętą, czemś w rodzaju spadłej gwiazdy, jednym z tych, którzy mieli pójść górnym szlakiem a dzięki fatalizmowi życia osiedli na mieliźnie.

On sam jednak jakby nie zdawał sobie sprawy ze swego położenia i nie ubolewał nad sobą. Służbę pełnił chętnie i nie zabiegał o urlopy. Czy zapomniał o tem, co minęło, czy nie czuł się nigdy powołanym do wyższych celów — nie wiadomo.

Z przeszłości Grota zdołano wyłonić i ustalić tylko dwa fakty: jeden ten, że służył wojskowo podczas kampanii francusko-pruskiej, drugi, że wtedy stracił ukochanego brata.

Bliższych szczegółów mimo wszelkie wysiłki ciekawców wydobyć zeń nikt nie potrafił. W końcu dano za wygraną, zadawalając się skąpą wiązką biograficznych danych „inżyniera Grota”. Tak bowiem bez określonej przyczyny nazwali z czasem kolejarze małomownego towarzysza. Przewisko to, nadane mu zresztą wcale nie w złośliwej intencji, zrosło się jakoś tak dokładnie z osobą maszynisty, że nawet władze tolerowały je w rozkazach i rozporządzeniach. W ten sposób chcieli ludzie zaznaczyć jego odrębność...

Maszyna pracowała ciężko, oddechając co chwila kłębamii kłacastego, zmierzwionego dymu. Podsycana wciąż gorliwą ręką palacza para rozlewała się pieszczelami rur po końcu żelaznego olbrzyma, popychała suwak, parła o tłoki, pędziła koła. Gruchotały szyny, skrzypiały tryby, przerzucały się z trzaskiem dźwignie i heble rewersujące...

Na chwilę Grot ocknął się z zadumy i spojrział na manometr. Wskazówka, zakreśliwszy łuk, zbliżała się ku fatalnej trzynastce.

— Puść pan parę!

Palacz wyciągnął rękę i szarpnął wentyl; rozległ się przeciągły, dojmujący gwizd a równocześnie z boku maszyny wykwitła cieniutka mlecznobiała tulejka.

Grot skrzyżował ramiona na piersiach i zapadł powtórnie w marzenia.

— „Inżynier Grot” — cha, cha! Nader trafny przydomek! Ludzie nawet nie przypuszczają, jak bardzo trafny!...

Maszynista ujrzał nagle gdzieś w dalekiej mglistej perspektywie lat ubiegłych cichy, skromny domek na przedmieściu stolicy. W jasnej, środkowej izbie duży stół, zarzucony stosem planów, dziwacznych rysunków, technicznych szkiców. Nad jednym pochylona płowa główka Olesia, młodszego brata. Obok stoi on, Krzysztof i wodzi palcem wzdłuż szafirowej linii, okrążającej eliptycznym zgięciem jakąś płaszczyznę. Oleś przytakuje, coś poprawia, tłumaczy... To ich pracownia — to tajemnicze wnętrze, z którego wylał się śmiały pomysł latawca, który swobodnie bujając po przestworzach, miał podbić atmosferę, poszerzyć myśl ludzką i ponieść ją w zaświaty, w nieskończoność... Niewiele już brakowało do ukończenia dzieła: miesiąc, dwa, trzy najwyżej. Wtem przyszła wojna, branka, pochód, bitwa i... śmierć. Schyliła się jasna głowa na zbroszoną pierś, zamknęły chabrowe oczy na wieki...

Pamięta ten moment jedyny, okropny moment wdzierania się na szczyt „czerwonego fortu”. — Olek pomknął bohatersko naprzód, widny z dala na czole oddziału. Już wyciągnięta jego szabla muskała brzeszczotem skraw barwnego proporca, już męska ręka ujmowała zwycięskim chwytem jego drzewce... Wtem błysnęło coś z bastyonu, kurzawa dymu bluznęła z fortecznych wyziorów, piekielny huk rozkołysał blanki... Oleś zachwiał się, zawahał pod migotliwą tęczą wypuszczonego pałasza i runął w dół — na progu bojowych zamierzeń, w samym momencie żołnierskich ziszczeń, w chwili docierań do celu...

Śmierć tę odchorował Krzysztof: długie miesiące przeleżał w malignie w połowym lazarecie. Potem — wrócił w codzienne życie na pół złamany. Zarzucił dawne pomysły, światoburcze idee, zdobywcze plany: został maszynistą. Odczuwał kompromis, rozumiał karykaturę myśli, lecz nie miał już sił; poprzestał na miniaturze. Wkrótce surogat zastąpił zupełnie pierwotny ideał, przestłonił swą ciasną, szarą ramą szerokie niegdyś horyzonty: zdobywał przestrzeń na nową, małą skalę. Lecz wyprosił sobie u władz jazdę wyłącznie pospieszną — pociągów zwyczajnych nigdy nie prowadził. Tym sposobem, zyskując na terenie, zbliżał się choć w części do pierwowzoru. Upajał się szaloną jazdą na szeroko rozpiętych liniach, odurzał pokonywaniem w krótkim czasie znacznych odległości.

Nie znosił tylko dróg powrotnych, niecierpiał rekordów t. zw. tour-retour. Grot lubiał pędzić tylko przed siebie — brzydził się wszelkich powtórzeń. Dlatego wołał

wracać do nieubłaganego punktu wyjścia drogą okrężną, linią kolistą lub elipsą, byle nie bezwzględnie tą samą; dostrzegał wybornie niedoskonałość tych krzywizn, które w siebie wracają, czuł nieetyczność tych dróg, bądź co bądź wsobnych, lecz ocalał choć pozór ruchu postępowego, miał przynajmniej złudzenie, że dąży przed siebie.

Bo ideałem Grotą była szalona jazda w linii prostej bez zbieżeń, bez obiegów, jazda opętana bez tchu, bez postojów, wichrowy pęd maszyny w błękitniejące mgłą oddale, skrzydlata gońba w nieskończoność.

Grot nie cierpiał jakiegokolwiek mety. Od czasu tragicznej śmierci brata wytworzył się szczególny uraz psychiczny, objawiający się w lęku przed wszelkim celem, przed wszelkim dowolnego rodzaju końcem, kresem. Ukochał całą mocą wieczystość dążenia, znojnosc zasięgow — znieawidził realizację dopięć — drżał przed momentem spełnień z obawy, by w owej ostatniej, rozstrzygającej chwili nie zaskoczył zawód, nie pękła napięta struna, by nie stoczyć się w przepaść, jak wtedy — jak Oleś przed laty...

Stąd odczuwał maszynista żywiołowy lęk przed stacją i przystankami. Miał ich wprawdzie na swoich przestrzeniach niedużo, lecz zawsze były i pociąg należało od czasu do czasu zatrzymywać.

Stacja stała się dlań z czasem symbolem znieawidzonego końca, plastycznym urzeczywistnieniem wytkniętych celów wędrówki, ową przeklętą metą, przed którą zdejmował go wstręt i trwoga.

Idealna linia drogi rozpadała się na szereg odcinków, z których każdy był zamkniętą całością, od punktu wyjścia do punktu przybycia. Powstawało rozczarowujące ograniczenie, ciasne, nad wyraz banalne: stąd — dotąd. Na wyprężonej cudownym rzutem w bezkresy wstędze tworzyły się tępe węzły, uparte supły i psuły rozpęd, plugawiły szal.

A ratunku na razie nie widział nigdzie: z natury rzeczy pociąg musiał co jakiś czas zawijać do obmierzłych przystani.

I gdy już na widnokregu wynurzały się kontury zabudowań stacyjnych, rysowały czerwonym lub żółtym ekranem rozpięcia ścian, opadały go nieopisany lęk i obrzydzenie; podniesiona ku korbie ręka mimowoli cofała się i musiał używać całej siły woli, by stacyi nie minąć.

W końcu, gdy sprzeciw wewnętrzny wzrósł do niebywałego napięcia, wpadł na szczęśliwy pomysł. Postanowił wprowadzić pewną dowolność w zakresie mety przez uruchomienie jej punktów granicznych. Dzięki temu pojęcie stacyi, tracąc

dużo z wyrazistości, stawało się czemś ogólnikowem, czemś tylko zlekka naszkicowanem i nader elastycznym. Owa przesuwalność granic używała pewnej swobody ruchów, nie krępowała bezwzględnie kagańcem hamulca. Punkty postojowe, nabrawszy charakteru płynności, przetworzyły nazwę stacyi w termin nieokreślony, sobiepański, niemal fikcyjny, z którym nie trzeba się było już tak liczyć; słowem stacya w tak szeroko pojętem znaczeniu, poddana dowolnej interpretacyi maszynisty, była teraz mniej groźną, chociaż mimoto wstrętną.

Chodziło więc przedewszystkiem o to, by nigdy nie zatrzymywać pociągu w miejscu oznaczonem mniej więcej przez przepis, lecz zawsze wychylać się o jakiś kawałek za lub przed.

Grot postępował zrazu bardzo ostrożnie, by nie budzić podejrzeń urzędników; odchylenia były początkowo tak nieznaczne, że nie zwracały uwagi. Chcąc jednak wzmocnić w sobie poczucie dowolności, wprowadził maszynista pewne urozmaicenie: raz stawał zawczasie, drugi raz zapóźno — drgnienia wahały się to w jedną, to w drugą stronę.

Lecz z czasem ta ostrożność zaczęła go drażnić; swoboda wydawała się pozorną, iluzoryczną, czemś w rodzaju samooszukiwania się; niezamącony zdziwieniem spokój, rozlany na twarzach kierowników stacyi, irytował, budząc ducha przekory i buntu. Grot rozzuchwiał się: wychylenia stawały się z dniem każdym silniejsze, diapazon rósł, wzmagał się.

Już wczoraj naczelnik ruchu w Smągłowie, szpakowaty, z wiecznie przymrużonemi, jak u starego lisa, oczkami jegomość, dziwnie zezował w stronę pociągu, zatrzymanego spory kawał przed stacyą. Grotowi zdawało się nawet, że coś mruczał, wskazując ręką w jego stronę. Lecz jakoś uszło na sucho.

Maszynista zacierał ręce i cieszył się:

— Przecież zauważyli!

Wyjeżdżając dziś nad ranem z Wrotycza, postanowił podwoić stawkę.

Ciekaw jestem — pomyślał, puszczając kurki w ruch — w jakim też stosunku wzrośnie irytacya tych panów?

Przypuszczaćby należało, że do kwadratu odległości.

Jakoż domysł nie zawiódł. Cała dzisiejsza tura miała być nieprzerwanem pasmem awantur.

Zaczęło się w Zaszumiu, pierwszej większej przystani na linii, którą zamierzał przebyć. Uśmiechając się złośliwie pod wąsem, zatrzymał pociąg kilometr przed



stacją. Oparłszy się o porapet maszyny, zapalił Grot fajeczkę i pykając z niej powoli, przypatrywał się z zajęciem zdumionym minom konduktorów i kierownika pociągu, który nie umiał wytłumaczyć sobie postępowania maszynisty. Kilku pasażerów wychyliło strwożone głowy i rozglądało się na prawo i lewo, zapewne przypuszczając jakąś przeszkodę w ruchu. Nadbiegł wreszcie i urzędnik stacyjny, zapytując o powód:

— Czemu pan nie zajeżdżasz przed peron? Przeszkody żadnej nie sygnalizowano, wszystko w porządku.

Grot wypuścił spokojnie duży, zwarty kłęb dymu i nie wyjmując fajki z ust, wycedził flegmatycznie przez zęby:

— Hm... tak? A mnie zdawało się, że zwrotnica źle nastawiona. Nie opłaci się już podjeżdżać ten kawałeczek:

moja staruszka trochę się zadyszała.

Tu uderzył pieszczotliwie w bęben kotła.

— Zresztą goście i tak już sami wysiadają — niech pan naczelnik popatrzy — o, jeden, dwóch, tam cała rodzina.

Istotnie: zniecierpliwieni czekaniem pasażerowie zaczęli opuszczać wagony i piechotą, uginając się pod ciężarem tobołów i pakunków, zdążali ku stacyi. Grot przeprowadzał ich ironicznem spojrzeniem i ani myślał zmieniać taktyki.

Urzędnik lekko zmarszczył się i dając za wygraną, upomniał na odchodnem:

— Na przyszłość wyteżaj pan lepiej oczy!

Maszynista zbył uwagę pogardliwym milczeniem. W parę minut potem poszybował pociąg mimo stacyi w dalszą drogę.

Na najbliższym z kolei przystanku Brzana powtórzyła się niemal identyczna historia z tą tylko odmianą, że tym razem spodobało się Grotowi zatrzymać pociąg kilometr poza stacją. I tu postawił maszynista na swoim i nie cofnął się przed peron. Zauważył jednak, jak przed ruszeniem w dalszą drogę kierownik pociągu szeptał coś żywo przez parę minut z naczelnikiem; z wyrazu oczu i gestów poznał Grot, że on był przedmiotem rozmowy, lecz udał, że tego nie dostrzega. Ubawił go tylko znamieny półkolisty ruch, zakreślony palcem na czole przez urzędnika w czerwonej czapce. Wkrótce potem pędził znów pełną parą, ani nie przypuszczając, że równocześnie telegraficzny aparat, puszczony w ruch w Brzanie, zwrócił nań uwagę władz stacyjnych Podwyża.

A już był od miasta niedaleko. Już przekreślały podwieczorne niebo złociste

krzyże kościołów, przemijały się nad morzem dachów przeguby dymów, strzelały ostro iglice fabryk. Już krzyżowała się w dali sieć szyn, czerniał las zwrotnic, widniała połogo ustawiona szyba dystansu.

Grot ujął krzepko korbę, nastawił dźwignię, zakręcił hamulec; maszyna wydała żalostną skargę niby jęk, niby świst, wyplunęła żebrami potężną siklawę pary i osadziła się na miejscu: pociąg stanął dobre półtora kilometra przed stacją.

Grot odjął ręce od kurków i studyował efekt. Nie zawiódł oczekiwania. Uprzedzony już naczelnik wysłał w roli parlamentarza niższego rangą kolegę.

Młody człowiek miał minę surową, niemal skupioną. Wyprostował się, naciągnął sztywnie służbową bluzę i wstąpił uroczyście na platformę maszyny.

— Zajeżdżaj pan na stację!

Grot milcząco zawinął korbę, puścił w ruch heble: pociąg ruszył.

Dumny z odniesionego tryumfu asystent skrzyżował po napoleońsku ramiona i odwrócony lekceważąco od maszynisty i kotła, zapalił papierosa.

Lecz sukces był tylko pozorny. Bo oto pociąg przeleciał z szumem mimo peronu i zamiast zatrzymać się przed stacją, ujechał znaczny kawał poza nią, by tu dopiero, dymiąc wszystkimi parami, przystanąć na odpoczynek.

Urzędnik zrazu nie zorientował się; dopiero spostrzegłszy na lewo poza sobą budynek stacyjny, rzucił się groźnie ku maszyniście:

— Czyś pan zwaryował? Zatrzymywać pociąg w czystym polu! Albo masz pan bzika lub piłeś dziś za dużo! Proszę natychmiast zawracać!

Grot ani drgnął, nie ruszył się z miejsca. Wtedy urzędnik odsunął go gwałtownie od kotła i zajmąwszy jego stanowisko, puścił kontraparę; po chwili pociąg dysząc zajechał przed peron.

Grot nie przeszkadzał. Jakaś szczególna apatya obezwładniła mu ruchy, spętała ręce. Patrzył tępo na twarze służby, funkcjonaryuszy i urzędników, którzy gromadnie otoczyli jego maszynę; bezwolnie dał się ściągnąć z platformy — jak automat poszedł za wzywającym go za sobą naczelnikiem.

Po paru minutach znalazł się w biurze stacyjnym przed dużym, zielonym sukniem zasłanym stołem, na którym kłapały bezustannie w nerwowych podrzutach aparaty, wysnuwały się z bloków długie taśmy, trzepotały dzwonki.

Kierownik stacji poddał go przesłuchaniu. Siedzący obok protokolant umoczył pióro i w natchnieniu czyhał na pytania, które miały paść z ust zwierzchnika.

Jakoż padły.

— Pańskie nazwisko?

— Krzysztof Grot.

— Wiek?

— 32 lat.

— Kiedy pan wyjechał z Wrotycza

— Dziś 454 nad ranem.

— Czy oglądał pan maszynę przed objęciem pociągu?

— Oglądałem.

— Czy pamięta pan seryę i numer maszyny?

Po twarzy Grota przemknął dziwny uśmiech:

— Pamiętam. Serya: zero, numer: nieskończoność.

Urzędnik spojrzał porozumiewawczo na zapisującego zeznania kolegę.

— Proszę liczby podane w tej chwili przez pana napisać na tej kartce.

Tu naczelnik podsunął mu pod rękę ćwiartkę papieru i ołówek.

Grot wzruszył ramionami:

— A owszem.

I skreślił w odstępach następujące dwa znaki: 0....∞.

Naczelnik spojrzał na liczby, pokiwał głową i prowadził w dalszym ciągu indagację:

— Liczba jaszczyka?

— Nie pamiętam.

— To źle, bardzo źle — maszynista powinien wiedzieć takie rzeczy — zaopiniował sentencyjnie.

— Jak się nazywa pański palacz? — zapytał po małej przerwie.

— Błażej Nedorost.

— Imię zgadza się, nazwisko błędne.

— Powiedziałem prawdę.

— Mylisz się pan, nazywa się Błażej Smutny.

Grot machnął obojętnie ręką:

— Być może. Dla mnie nazywa się Nedorost.

Naczelnik znów wymienił z towarzyszem znaczące spojrzenie.

— Nazwisko kierownika pociągu?

— Stanisław Mrówka.

Przesłuchujący z trudem powstrzymał wybuch wesołości:

— Mrówka, powiada pan? Mrówka?! A to dobre! Bajeczny pan sobie jesteście!

Mrówka?! No proszę kogo!

— Tak jest. Stanisław Mrówka.

— Nie, panie Grot. Kierownik pańskiego pociągu nazywa się Stanisław Żywiecki. Znów się pan pomyliłeś.

Protokolant pochylił wypomadowaną głowę ku zwierzchnikowi i szepnął na ucho:

— Panie naczelniku, ten człowiek albo pijany, albo ma tęgiego fijoła.

— Zdaje się to ostatnie — odpowiedział chrząkając urzędnik, poczem zwrócił się do winowajcy z ponownym pytaniem:

— Pan żonaty?

— Nie.

— Czy pił pan co przed wyjazdem?

— Alkoholu nie znoszę.

— Ile pan godzin w służbie?

— 16.

— Nie czujesz się pan znużony jazdą?

— Bynajmniej.

— Dlaczego pan dzisiaj cztery razy z rzędu nie zatrzymał pociągu na właściwym miejscu przed stacją?

Grot milczał. Nie mógł, nie chciał za nic w świecie tego powiedzieć.

— Czekam na odpowiedź.

Maszynista zwiesił ponuro głowę.

Wtedy urzędnik podniósł się uroczyście od biurka i zawyrokował:

— Teraz pójdzie się pan wyspać. Zastąpi pana inny kolega. Zawieszam pana na razie w służbie; być może, wezwie się pana z powrotem w swoim czasie, kiedyś później. Tymczasem radzę panu poddać się oględzinom lekarskim jak najrychlej. Pan jesteście poważnie chory.

Grot pobladał, zachwiał się. Historia przybrała charakter tragiczny. Z wyrazu twarzy, tonu i treści słów poznał, że go uważają tutaj za waryata. Zrozumiał, że stracił posadę, że przestał być maszynistą.

— Panie naczelniku — jęknął, załamując ręce — zdrow jestem zupełnie. Mogę dalej jechać.

— To wykluczone, panie Grot. Nie mogę panu powierzać losu kilkuset osób. Czy wiesz pan, że omal nie stałeś się dzisiaj sprawcą katastrofy? Zajechałeś za daleko, docierając do punktu, w którym miało nastąpić skrzyżowanie z osobowym z Czerniawy. Gdyby pan asystent nie był cofnął w porę pociągu, nastąpiłoby niechybne zderzenie. Sygnalizowany już pociąg nadjechał w dwie minuty potem. Pan się nie nadaje do służby, panie Grot. Trzeba się wpierw leczyć. Pozatem skończyliśmy.

Proszę opuścić lokal.

Ciężkim, ołowianym krokiem wyszedł Grot z pokoju, przemierzył peron, poczekalnię i zataczając się jak pijany, powlókł się wzdłuż magazynów kolejowych.

Czaszkę rozpierał głuchy ból, w duszy łkała rozpacz. Stracił służbę.

Nie chodziło o tych marnych kilkadziesiąt sztuk monety, o posadę, o tytuł — szło o maszynę, bez której żyć już nie umiał. Chodziło o nieoceniony, jedynie dlań dostępny środek, którym mógł zmagać się z przestrzenią, pędzić w mroczniejące dale. Z utratą służby usuwał mu się grunt pod nogami, rozwierała czarna, bezdenna otchłań bezcelowości życia.

Targany dławiącym krtań bolem minął magazyny, minął most, tunel i machinalnie wszedł na tory.

Było już daleko za stacją. Potykając się co krok o drewniane podkłady skrzyżowanych szyn, zaczepiając o zwrotnice, błąkał się Grot pomiędzy lśniącem zimno żelaziwem.

Wtem usłyszał za sobą ciężki stęk, poczuł pod nogami drżenie ziemi. Odwrócił się i spostrzegł powoli szybującą, luźną maszynę.

Objął ją wzrokiem znawcy, stwierdził zasobność jaszczyka, zauważył radośnie nieobecność palacza.

Postanowienie szybkie jak błysk, jak mgnienie oka, zakołatało w skołatany mózgu i dojrzało w momencie.

Krokiem ostrożnym, drapieżnym, krokiem czającego się lamparta podkradł się pod bok żelaznego potwora i jednym susem wskoczył na platformę.

Ruch był tak nagły i niespodziewany, że maszynista osłupiał. Grot wyzyskał chwilę. Zanim zdumiony kolega zorientował się w sytuacji, wytworzonej przez nieoczekiwanego gościa napastnik zakneblował mu chustką usta, spętał ręce na

krzyżach i powaliwszy na spód maszyny, zepchnął z pomostu na ziemię.

Załatwiwszy się z tem w przeciągu kilku minut, zajął Grot przy kotle miejsce swego poprzednika.

Tytaniczna radość rozsadzała mu serce — okrzyk tryumfu rozpierał piersi. Był znów u steru!

Pocisnął kurki, siepnął parą, zatoczył młyncem korbę. Maszyna, jakby odczuwszy rękę mistrza, zadrżała w posadach, zaniosała się krzepkim, pożegnalnym gwizdem i ruszyła w szeroki świat.

Grot szalał z upojenia. Wyszedłszy z labiryntu szyn, wpadł na główny, mknący prosto przed siebie jak strzała tor i runął w przestrzeń!

Rozpoczął się wichrowy pęd, niekrępowany niczem, nie przerywany przystankami, nudą postojów. Grot mijał piorunem jakieś stacye, przemykał jak demon mimo jakieś miasta, przelatywał jak huragan przez jakieś przystanie. Bez przerwy czerpał szuflą węgle, wrzucał je w palenisko; sycił ogień, zgęszczał parę. Jak opętany biegał od jaszczyka do kotła, od kotła do jaszczyka, stwierdzał stan wody w wodomiarze, badał ciśnienie pary.

Nie widział nic, nie myślał nic — upajał się tylko pędem, żył tylko wicherzycą ruchu, tonął w gigantyzmie rozmachu. Zatracił rachubę czasu, pory, godzin. Nie wiedział, jak długo już trwa piekielna jazda, czy dzień, czy dwa, czy tydzień...

Maszyna rozpętała się. Obłąkane chyżością koła wykonywały nieuchwytnie, fantastycznie chybkie obroty, uznojone tłoki cofały się, to znów parły wprzód skwapliwym gestem, tłukły się opętańczo zziajane kolby. Wskazówka na manometrze szła wciąż w górę — rozżarzony do czerwoności kocioł zionął skwar, przepalał skórę, parzył dłonie. Nic to! Jeszcze! Dalej! Prędzej! W cwał! W cwał!!

Nowy dorzut węgla zniknął w czeluści pieca i prysnął snopem krwawych iskier — nowa falanga pary wstrzyknęła ognisty war w topniejące rury...

Grot wlepił przesłonięte gorączką oczy w rubinową gardziel i pił jej żar, wsysał jej krew...

Wtem... zakotłowało coś, zawyło szatańskim skowytem — rozległ się huk, jak z tysiąca armat, zaryczał grzmot, jakby stu piorunów... Wytrysnął w górę ognisty, splełany kłęb, zgmatwany słup odłamów, żelaznych skorup, pogiętych blach — prysnęła pod niebo rakietta szczątów, rozprutych przęseł, rozpękłych dzwon...

Rozdarł kiry nocy purpurowy finał Grota.

# BŁĘDNY POCIĄG

LEGENDA KOLEJOWA

Na dworcu w Horsku panował gorączkowy ruch. Czas był przedświąteczny, w perspektywie parę dni wolnych od pracy, pora wymarzona. Peron mrowił się od przyjezdnych i wyjeżdżających. Migwały podniecone twarzyczki kobiet, wiły się barwne wstążki kapeluszy, pstrzyły szale podróżne; tu przeciskał się wśród tłumu smukły cylinder wytwornego pana, tam zaczerniał sutanną duchowny; ówdzie pod arkadami siniały poprzez ciżbę kolety wojskowych, obok szarzały robotnicze bluzy.

Wrzało bujne życie i ujęte w zbyt ciasne ramy dworca przelewało się z szumem poza jego brzegi. Chaotyczny gwar pasażerów, nawoływania tragarzy, gwizd świstawek, szum wypuszczonej pary zlewały się w zawrotną symfonię, w której traciło się siebie, oddawało zmałą, ogłuszoną jaźń na fale potężnego żywiołu, by niósł, kołysał, odurzał...

Służba pracowała intensywnie. Co chwila wynurzały się wśród zgiełku to tu, to tam czerwone kepi urzędników ruchu wydających rozkazy, usuwających z toru roztargnionych, przeprowadzających bystrem i czujnym okiem pociągi w chwili odjazdu. Konduktorzy uwijali się bez przerwy, przebiegając nerwowym krokiem długie pierzeje wagonów — blokmistrze — piloci stacyi spełniali instrukcje krótkie a sprawne jak trąbki — hasła odlotu. Wszystko szło w tempie rażnym, odmierzonem na minuty, sekundy — wszystkich oczy odruchowo kontrolowały czas na podwójnej białej tarczy zegara tam w górze.

Mimoto spokojny widz stanąwszy na uboczu, doznałby po krótkiej obserwacji sprzecznego z pozornym porządkiem rzeczy wrażenia.

Coś jakby wkradło się w unormowany przepisami i tradycją bieg czynności; jakaś nieokreślona, choć ważka zawada stanęła wpoprzek regularności uświęconej ruchu.

Znać to było w nerwowych nadzwyczaj gestach ludzi, niespokojnych rzutach oczu, wyczekującym czegoś wyrazie twarzy. Coś się popsuło we wzorowym dotąd organizmie. Jakiś niezdrowy, niesamowity prąd krążył po jego rozgałęzionych stokrotnie arteriach i przesiąkał na powierzchnię w półświadomych wyblyskach.

Gorliwość kolejarzy cechowała widoczna chęć przewyciężenia tajemnej rozterki, która wkręciła się ukradkiem w wyborny mechanizm. Każdy dwoił się

i troił, by gwałtem przydusić denerwującą zmoreę, utrzymać wymarzoną do automatyzmu sferność pracy, żmudną lecz bezpieczną równowagę funkcji.

Była to przecież ich dziedzina, ich „rejon” uprawiany od wielu lat pilnej praktyki, teren, który, zdawało się, znali par excellence na wylot. Byli przecież przedstawicielami tej kategorii pracy, tego zakresu czynności życiowych, gdzie dla nich wtajemniczonych nic nie winno było pozostać niejasnym, gdzie ich, reprezentantów, jedynych wykładników całej skomplikowanej sieci zajęć nie mogła, nie powinna była zaskoczyć jakakolwiek zagadka. Wszakże wszystko od lat obliczone, zważone, odmierzone — wszakże wszystko, choć złożone, nie przekraczało ludzkich pojęć — wszakże wszędzie dokładność umiaru bez niespodzianek, regularność powtarzających się zajęć, obliczonych z góry!

Poczuł się tedy niejako do solidarnej odpowiedzialności wobec zwartej masy podróżnych, którym należało zapewnić spokój i bezpieczeństwo zupełne.

Tymczasem wewnętrzna ich rozterka udzielała się publiczności i płynąc od nich falą zdenerwowania, rozwodziła się w nieokreślone prądy nurtujące pasażerów.

Gdyby przynajmniej chodziło o t. zw. „przypadek”, którego wprawdzie nie można przewidzieć, lecz który daje się potem, po momencie spełnienia wydedukować z tego, co poprzedzało — zapewne wobec przypadku, i oni, zawodowcy, stawali bezradni, choć nie zrozpaczeni. Lecz tutaj chodziło o coś zupełnie innego.

Zaszło coś nieobliczalnego jak chimera, kapryśnego jak szaleństwo i przekreśliło za jednym zamachem prastary układ zdarzeń.

Więc wstyd im było przed sobą i przed innymi poza obrębem zawodu.

W obecnej chwili szło tedy przedewszystkiem o to, by się „sprawa” nie rozeszła, by się „szeroka publiczność” nie dowiedziała; należało dołożyć wszelkich możliwych starań, by „dziwaczna historia” nie nabrała rozgłosu w dziennikach, by uniknąć za wszelką cenę „skandalu”.

Dotąd jakoś rzecz pozostała w ścisłej tajemnicy, zatrzymana cudem w wyłącznym obrębie dotyczącego środowiska. Przedziwna iście solidarność połączyła tych ludzi w wyjątkowym wypadku: milczeli. Tylko wymowne spojrzenia oczu, specjalne gesty i gra słów dobranych ułatwiały porozumienie. Dotąd „publiczność” nie wiedziała o niczem.

Lecz już niepokój służby, nerwica funkcjonariuszy przenosiła się zwolna i na nią, przygotowując glebę podatną pod zasiew „zmowy”.

A „sprawa” była istotnie dziwaczną i zagadkową.



Od pewnego czasu pojawił się na liniach kolei państwowych jakiś pociąg nieobjęty powszechnie znanym rejestrem, nie wciągnięty w poczet kursujących parowozów, słowem intruz bez patentu i aprobaty. Nie zdołano nawet określić, do jakiej należał kategorii i z jakiej wyszedł fabryki, gdyż momentalnie krótki przeciąg czasu, przez jaki dawał się za każdym pojawieniem obserwować, uniemożliwiał jakąkolwiek w tym względzie orientację. W każdym razie, wnosząc z nieprawdopodobnej wprost chyżości, z jaką przesuwał się przed oczyma zdumionych widzów, musiał zajmować bardzo wysoki stopień w skali pojazdów: był to pociąg conajmniej błyskawiczny.

Lecz rzeczą najbardziej niepokojącą była jego nieobliczalność. Intruz pojawiał się to tu, to tam, nadchodził nagle ni stąd, ni zowąd, skądś z odległej przestrzeni linii kolejowej, przelatywał z szatańskim szumem po torach i znikał w dali; dziś widziano go koło stacyi M., nazajutrz wyłonił się gdzieś w czystym polu poza miastem W., w parę dni później przeszybował z osłupiającym tupetem koło budki dróżnika w okolicy przystanku G.

Zrazu myślano, że szalony pociąg należy do istniejącego etatu, i tylko opieszałość lub pomyłka urzędników ruchu nie zdołała dotąd stwierdzić jego tożsamości. Zaczęły się więc dochodzenia, sygnalizacje bez końca, wzajemne porozumiewania się stacyi — wszystko bez skutku: intruz po prostu drwił sobie z wysiłków funkcjonaryuszy, wynurzając się zwykle tam, gdzie go się najmniej spodziewano.

Szczególnie przygnębiająco działała okoliczność, że nigdzie go nie można było przyłapać, nigdzie dopaść ni zatrzymać. Urządzony kilkakrotnie w tym celu pościg na jednej z najwyborniejszych maszyn, uznanej w całym tego słowa znaczeniu za ostatni wyraz współczesnej techniki, zrobił ohydne fiasko; niesamowity pociąg wziął rekord bez zająknięcia.

Wtedy zaczęła ludzi ogarniać przesądna obawa i głucha, tłumiona strachem wściekłość. Rzecz bowiem istotnie niesłychana! Od lat szeregu kursowały wozy według wytkniętego z góry planu, który układano w dyrekcyach, zatwierdzano w ministeriach, realizowano w ruchu — od lat wszystko można było obliczyć, mniejwięcej przewidzieć, a gdy zaszła jakaś „pomyłka” lub „przeoczenie”, te naprawić, logicznie wytłumaczyć — aż tu nagle nieproszony gość wślizguje się na tory, psuje porządek, wywraca na nice regulamin, wnosi w zgrany organizm zaczyn nieładu i rozstroju!

Całe szczęście, że dotąd natręt nie spowodował żadnej katastrofy. Był to

w ogóle szczegół, który zastanawiał od samego początku. Zawsze jakaś przestrzeń, na której się wynurzał, była w danej chwili wolną; szalenie dotąd nie wywołał zderzenia. Lecz mogło to nastąpić lada dzień, tem bardziej, że zwolna zaczął zdradzać w tym kierunku pewną inklinację. Po jakimś czasie skonstatowano z przerażeniem w jego ruchach pewną dążność do wejścia w bliższy kontakt z regularnie kursującymi towarzyszami. O ile zrazu zdawał się unikać blizkiego ich sąsiedztwa, pojawiając się zawsze w znacznej odległości za lub przed, obecnie wyrastał na szynach po upływie coraz to krótszych odstępów czasu za plecyma poprzedników. Raz już przemknął obok ekspresu w drodze do O., tydzień temu ledwo wyminął osobowy na przestrzeni między S. a F., onegdaj cudem tylko skrzyżował się szczęśliwie z pospiesznym z W.

Drżeli naczelnicy stacyi na wiadomość o tych wyjątkowych wyminięciach, które należało zawdzięczać li tylko podwójnej wstędze torów i przytomności maszynistów. Podobnie „cudowne ocalenia” zaczęły w ostatnich czasach zdarzać się coraz częściej, przyczem szanse szczęśliwego wyjścia ze spotkania widocznie malały z dniem każdym.

Intruz z roli ściganego przeszedł w czynną, pchany jakby magnetycznym popędem do tego, co regularne i w normę ujęte, zaczął grozić bezpośrednią destrukcją starego spraw porządku. Historia mogła lada dzień skończyć się tragicznie.

To też i kierownik ruchu w Horsku od miesiąca wiódł życie nad wyraz przykre. W ciągłej obawie przed niepożądaną wizytą, czuwał prawie bez przerwy, nie opuszczając dniem i nocą posterunku, który mu powierzono niespełna od roku w dowód uznania „jego energii i niezwykłej sprężystości”. A placówka była ważna, bo na stacyi w Horsku przecinało się parę zasadniczych linii kolejowych i ogniskował ruch całej połaci kraju.

Dziś zwłaszcza, wobec niebywałego napływu gości, praca w podobnie naprężonej sytuacji była nader uciążliwa.

Zapadał powoli wieczór. Rozbłysły światła lamp elektrycznych, rzuciły potężne swe projekcje reflektory. W zielonych ogniach zwrotnic szyny lśnić poczęły ponurometalicznym połyskiem, giąć się zimnemi wstęgami żelaznych węży. Gdzieniegdzie w pomroce zapełgotał nikły kaganek konduktora, błysnął sygnał drożnika. W dali, hen, hen za dworcem, tam gdzie już gasną szmaragdowe oczy latarni, kreślił nocne swe znaki stacyjny semafor.

Oto właśnie wychodząc z poziomu, zatoczył kąt 45° i ustawił się w linii

ukośnej: szedł pociąg osobowy z Brzeska.

Już słyhać zdyszany oddech lokomotywy, miarowy gruchot kół, już widać jasnożółte okulary na przedzie. Wtoczył się na stację...

Z otwartych okien wychylają się złote loki dzieci, ciekawe twarze kobiet, powiewają przywitalne chusty...

Ława czekających na peronie posuwa się gwałtownie ku wagonom, wyciągnięte ramiona dążą obustronnie ku spotkaniu...

Co to za hałas tam z prawej?! Przeraźliwe gwizdy świstawek rozdzierają powietrze. Naczelnik krzyczy coś ochryłym, dzikim głosem.

— Precz! Cofnąć się, uciekajcie! Puść kontrparę! Wstecz! Wstecz!... Nieszczęście!!

Tłum rzuca się zwartym naporem ku balaskom i łamie je... Obłąkane oczy instynktownie patrzą w prawo, gdzie służba wyległa i widzą spazmatyczne, bezcelowo wściekłe wibracje latarek usiłujących zawrócić pociąg jakiś, który całym rozmachem najeżdża z przeciwnej strony torem zajęтым przez osobowy z Brzeska. Wichurę gwizdów przeryniają rozpaczliwe odzwy trąbek i piekielna wrzawa ludzi. Nadaremnie! Nieoczekiwany parowóz zbliża się z zawrotną chyżością; olbrzymie, zielone ślepa maszyny roztrącają ciemność upiornym spojrzeniem, potężne tłoki obracają się z bajeczną, opętaną sprawnością...

Z tysiąca piersi wyrywa się okropną trwogą, bezdenną paniką nabrzmiały okrzyk:

— To on! Obłąkany pociąg! Szaleniec! Na ziemię! Ratunku! Na ziemię! Giniemy! Ratunku! Giniemy!

Jakaś gigantyczna, szara masa przelatuje nad pokotem ciał, popielata, mglista masa z wykrojami okien na przestrzał — czuć wicher szatańskiego przeciagu, wiejący z tych otwartych nor, słyhać łopot rozwianych szaleńczo żaluzji, znać widmowe twarze pasażerów...

Wtem dzieje się coś dziwnego. Obłąkany pociąg zamiast zdruzgotać osiągniętego już drapieźnie towarzysza, przechodzi przezeń jak mgła; przez chwilę widać, jak przesuwają się przez siebie dwie pierzeje wozów, ocierają bezgłośnie ściany wagonów, przenikają w paradoksalnej osmozie tryby i osie kół — jeszcze sekunda i intruz przesiąkwszy z błyskawiczną furją przez stały organizm przeciagu, zczeza i rozwiewa się po drugiej stronie gdzieś w polu. Ucichło...

Na torze przed stacją stoi spokojnie nienaruszony osobowy z Brzeska. Wkoło

cisza bez kresu, bez dna. Tylko od łąk, tam w dali idzie zciszony poświerk koników, tylko po drutach, tam w górze płynie mrukliwa gawęda telegrafu...

Ludzie z peronu, służba, urzędnicy przecierają ze snu oczy i spoglądają po sobie zdumieni:

Prawdali to, czy zły majak?

Powoli wszystkich spojrzenia, wiedzione wspólnym impulsem, skupiają się na pociągu z Brzeska. — Stoi wciąż głuchy i milczący. Tylko wewnątrz zapalone lampy płoną równem, spokojnem światłem, tylko w otwartych oknach igra lekko wietrzyk firankami...

We wozach grobowa cisza; nikt nie wysiada, nikt nie wychyla się z wnętrza. Przez oświetlone czworokąty okien widać pasażerów: mężczyzn, kobiety i dzieci; wszyscy cali, nieuszkodzeni — nikt nie doznał najlżejszej kontuzji. Lecz stan ich dziwnie zagadkowy...

Wszyscy w postawie stojącej, twarzami w kierunku, gdzie zniknął upiorny parowóz; jakaś siła okropna zakłęła tych ludzi w jedną stronę i trzyma w niemem osłupieniu; jakiś prąd silny przeorał zbiorowisko dusz i spolaryzował na jedną modłę; wyciągnięte naprzód ręce wskazują cel jakiś nieznan, cel pewnie daleki — podane przed się ciała, pochylone torsy w dal dążą, w zawrotną, w odległą gdzieś, mglistą krainę — a oczy... zeszkłone opętańczą trwogą i... zachwytem oczy toną w przestrzeni bez krańców...

Tak stoją i milczą; muskuł nie zadrgnie, nie spadnie powieka. Tak stoją i milczą...

Bo przeszedł przez nich powiew przedziwny, bo tknęło ich wielkie ocknienie, bo byli to już ludzie... obłąkani...

Wtem zabrzmiały dźwięki mocne i znane, w codzienność bezpieczną spowite — udary jędrne jak serce, gdy o pierś zdrową łomoce — miarowe dźwięki nawyku, od lat to samo głoszące...

— Bim-bam... i przerwa — bim-bam... bim-bam..., Sygnały szły...

## DEMON RUCHU

Błyskawiczny „Continental” w drodze z Paryża do Madrytu pędził co sił w tłokach. Pora była już późna, śródnocna, czas słotny, deszczowy. Mokre bicze

dżdżu chłostały oświetlone jasno szyby i rozbryzgiwały się na szkło w łzawe różańce kropel. Skąpane w ulewie kadłuby wagonów połyskiwały pod światło przydrożnych latarni, niby wilgne pancerze, wyrzygiwały rynnami pluszczącą wodę. Od czarnych ich ciał szedł w przestrzeń głuchy postęk, zmieszany rozhovor kół, potracających się zderzaków, tratowanych bez litości szyn. Zapamiętały w obiegu łańcuch wozów budził w ciszy nocy uśpione echa, wywabiał zamarte po lasach głosy, cucił drzemiące stawy. Podnosiły się jakieś ciężkie, senne powieki, otwierały w przerażeniu jakieś duże oczy i tak trwały w momentalnym wylęku. A pociąg mknął dalej w wichurze wiatru, w tańcu jesiennym liści, wlokąc za sobą wydłużoną tuleję wirów wstrząśniętego powietrza, leniwo wieszających się na tyłach dymów, kopciu i sadzy, pędził dalej bez tchu, rzucając poza siebie krwawe wspomnienie iskier i węglowych odmiotów...

W jednym z przedziałów klasy pierwszej wciśnięty w kąt między ścianą wozu a poduszką oparcia, drzemał mężczyzna przeszło czterdziestoletni, o silnej, herkulicznej niemal budowie ciała. Stłumione światło lampy, precedzające się z trudem przez zaciągnięty ciemnik oświecało twarz starannie ogoloną, podłużną, z grymasem zaciętości wkoło wąskich ust.

**Koniec wersji demonstracyjnej.**

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

